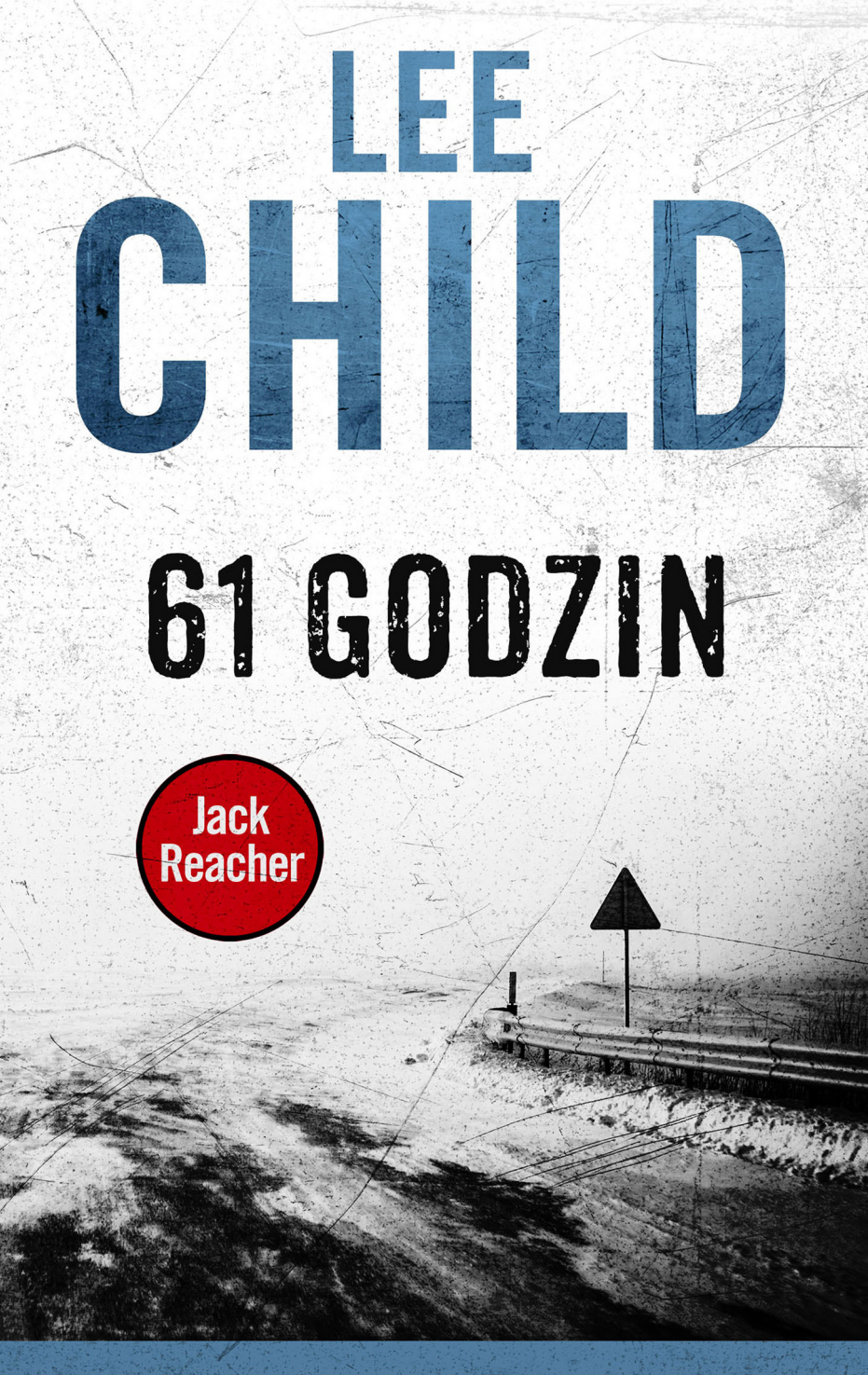


# LEE CHILD

## 61 GODZIN



# 1

Czternasta pięćdziesiąt pięć. Dokładnie sześćdziesiąt jeden godzin, zanim to się wydarzy. Adwokat wjechał na pusty parking. Ziemię pokrywała jednocalowa warstwa świeżego śniegu, dlatego przez minutę grzebał się, zakładając śniegowce. W końcu wysiadł, postawił kołnierz płaszcza i podszedł do wejścia dla odwiedzających. Z północy wiał przenikliwy wiatr sypiący grubymi płatkami śniegu. Sześćdziesiąt mil dalej szalała śnieżycza. W radiu bez przerwy o tym trąbili.

Adwokat wszedł do środka i strząsnął śnieg z butów. Nie było kolejki — to nie był normalny dzień odwiedzin. Przed sobą miał wyłącznie puste pomieszczenie, pusty taśmociąg z urządzeniem prześwietlającym, bramkę wykrywacza metali oraz trzech rozleniwionych strażników. Nie znał ich, lecz mimo to skinął im głową. Stali po tej samej stronie co on. Więzienie to świat zerojedynkowy. Albo jest się za kratkami, albo nie. Oni nie byli. On też nie.

Na razie.

Wziął z chybottliwego stosu szarą plastikową tacę i położył na niej zwinięty płaszcz. Zdjął marynarkę, złożył ją i położył na płaszczu. W więzieniu było gorąco. Taniej kupić więcej oleju opałowego, niż wydać osadzonym po dwa komplety garderoby, jeden na lato i drugi na zimę. Słyszał wydawane

przez nich odgłosy: brzęk metalu i stukanie o beton, rozlegające się od czasu do czasu dzikie wrzaski i niski pomruk rozmów, a wszystko to stłumione przez zbiegające się pod ostrymi kątami korytarze i wiele zamkniętych drzwi.

Adwokat opróżnił kieszenie spodni z kluczyków, portfela, komórki i drobnych monet i położył te wszystkie ciepłe, osobiste przedmioty na marynarce. Wziął do ręki szarą plastikową tacę, ale nie umieścił jej na taśmociągu. Zamiast tego zaniósł ją do małego okienka w ścianie i zaczekał, aż weźmie ją kobieta w mundurze i da mu w zamian numerek.

Stając przed bramką wykrywacza metali, poklepał się po kieszeniach i popatrzył na strażników, jakby czekał na zaproszenie. Zachowanie wyuczone na lotnisku. Strażnicy pozwolili, by stał tak przez minutę: mały nerwowy mężczyzna bez marynarki i z pustymi rękami. Bez teczki. Bez notesu. Nawet bez długopisu. Nie przyjechał tu, by udzielić porady. Przyjechał, by ją otrzymać. Nie żeby mówić, lecz by słuchać. I z całą pewnością nie zamierzał zapisać tego, co usłyszy, na żadnym skrawku papieru.

Strażnicy dali znak, żeby przechodził. Zapaliło się zielone światelko i nie odezwał się sygnał alarmowy, ale pierwszy strażnik i tak sprawdził go ręcznym wykrywaczem, a drugi obmacał. Trzeci zaprowadził go w głąb kompleksu przez szereg drzwi zaprojektowanych tak, by nie mogły się otworzyć, dopóki nie zamkną się poprzednie i następne, przez korytarze krzyżujące się tak, by spowolnić tempo ucieczki, obok grubych zielonych szyb, za którymi widać było czujne twarze.

Hol wejściowy był zuniformizowany: linoleum na podłodze, zielona farba na ścianach i jarzeniówki pod sufitem. Miał połączenie ze światem zewnętrznym: kiedy otwierano drzwi, do środka wpadało zimne powietrze, na podłodze widniały plamy soli i kałuże topiącego się śniegu. Wewnątrz więzienie było inne. Nie miało połączenia ze światem. Nie było tam widać nieba, nie było pogody. Nikt nie przejmował się wystrójem wnętrza: wszędzie surowy beton, wytarty i lśniący tam,

gdzie dotykały go rękawy i ramiona, w innych miejscach matowy i zakurzony. Pod stopami szorstka szara farba, dokładnie taka sama jak w garażu entuzjasty motoryzacji. Śniegowce adwokata głośno na niej skrzypiały.

Rozmównice były cztery. Każda stanowiła pozbawiony okien betonowy sześcian, przedzielony przez długi blat oraz zamontowane nad nim pancerne szyby. Pod sufitem paliły się okratowane lampy. Na betonowym blacie nadal widać było ślady szalunku. Trzy grube szyby zachodziły na siebie, żeby rozmawiający mogli się słyszeć. Centralna szyba miała wycięty otwór na dokumenty. Tak samo jak w banku. Obie połowy pomieszczenia miały swoje krzesło i swoje drzwi. Idealnie symetryczne. Adwokaci wchodzili z jednej strony, osadzeni z drugiej. Później wychodzili tą samą drogą, którą przyszli, każdy w swoją stronę.

Strażnik otworzył drzwi z korytarza i zrobił dwa kroki do środka, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Następnie stanął z boku i wpuścił do rozmównicy adwokata. Adwokat wszedł i zaczekał, aż strażnik zamknie za sobą drzwi. Kiedy prawnik został sam, usiadł i zerknął na zegarek. Spóźnił się ośmiem minut. Jechał wolno z powodu pogody. Spóźnienie w innym przypadku świadczyłoby o braku profesjonalizmu i szacunku. Ale spotkanie w więzieniu różniło się od innych. Dla więźniów czas nie ma znaczenia.

Po kolejnych ośmiu minutach w ścianie za szybami otworzyły się drugie drzwi. Strażnik wszedł do środka, sprawdził pomieszczenie, po czym cofnął się i do rozmównicy, powłócząc nogami, wszedł więzień. Klient adwokata. Białe, zupełnie łysy i z olbrzymią nadwagą, ubrany w pomarańczowy więzienny strój. Nogi w kostkach i ręce w nadgarstkach miał skute łańcuchami, które wydawały się delikatne niczym biżuteria. Miał mętne oczy, uległą, bezmyślną twarz i przez cały czas poruszał ustami jak ograniczona umysłowo osoba usiłująca zapamiętać skomplikowaną informację.

Drzwi w ścianie się zamknęły.

Więzień usiadł.

Adwokat przysunął swoje krzesło do blatu.

Więzień zrobił to samo.

Symetrycznie.

— Przepraszam za spóźnienie — powiedział adwokat.

Więzień nie odpowiedział.

— Co słyhać? — zapytał prawnik.

Więzień nie odpowiedział.

Adwokat milczał. W rozmównicy było gorąco. Minutę później więzień zaczął mówić, recytować, przekazywać instrukcje, zdania i akapity, których nauczył się na pamięć. „Zwolnij trochę”, prosił co jakiś czas adwokat i za każdym razem facet przerywał, czekał chwilę, a potem zaczynał na nowo, od początku poprzedniego zdania, nie zmieniając ani trochę tempa i melodii wypowiedzi. Jakby nie potrafił komunikować się w inny sposób.

Podobnie jak inni prawnicy adwokat uważał, że ma bardzo dobrą pamięć, zwłaszcza do szczegółów. Wysilek, z jakim starał się wszystko dokładnie zapamiętać, odwracał jego uwagę od treści otrzymywanych instrukcji, lecz mimo to, zanim więzień skończył i odchylił się do tyłu, zdążył naliczyć w nich czternaście różnych przestępczych propozycji.

Nie odezwał się ani słowem.

— Zapamiętał pan wszystko? — zapytał więzień.

Adwokat pokiwał głową, a jego rozmówca zapadł w bydlęcy bezruch. Przypominał pasącego się na polu cierpliwego osła. Czas dla więźniów nie ma znaczenia. Szczególnie dla tego. Adwokat odsunął krzesło i wstał. Drzwi się otworzyły i wyszedł na korytarz.

Piętnasta pięćdziesiąt pięć.

Zostało sześćdziesiąt godzin.

Na adwokata czekał ten sam strażnik. Dwie minuty później znów znalazł się na parkingu. W holu włożył ciepłe ubranie i schował do kieszeni wszystkie swoje rzeczy. Ich swojski, znajomy ciężar dodawał mu otuchy. Śnieg rozpadał się na

dobre, zrobiło się chłodniej, wiał silniejszy wiatr. Zapadał szybki wczesny zmierzch. Adwokat siedział przez chwilę z zapalonym silnikiem i włączonym ogrzewaniem fotela. Wycieraczki zgarniały na lewo i prawo śnieg z przedniej szyby. Wreszcie ruszył powoli, zataczając szeroki krąg. Opony samochodu skrzypiały na świeżym śniegu, przednie światła wycinały jasne łuki w zadymce. Podjechał do bramy w ogrodzeniu z siatki, odczekał swoje i kiedy sprawdzono mu bagażnik, ruszył prostą długą drogą, która prowadziła przez miasto do autostrady.

• • •

Czternaście przestępczych propozycji. Czternaście przestępstw, jeśli przekaże te propozycje i zostaną zrealizowane, co z pewnością nastąpi. Właściwie piętnaście przestępstw, ponieważ on sam stanie się wówczas współsprawcą. A może nawet dwadzieścia osiem przestępstw, jeżeli prokurator uzna, że jest współsprawcą czternastu oddzielnych przestępstw, co może zrobić po prostu dla jaj. Dwadzieścia osiem powodów, by okryć się hańbą, stracić prawo wykonywania zawodu, wyłądownać na ławie oskarżonych, a potem za kratkami. Prawie na pewno do końca życia, ze względu na charakter jednej z propozycji, i to pod warunkiem, że uda się zawrzeć ugode sądową. Wolał nie myśleć o tym, co będzie, jeśli ugoda nie zostanie zawarta.

Adwokat wjechał na autostradę i wybrał wolny, lewy pas. Wszędzie wirowały gęste płatki śniegu, szare w zapadającym zmroku. Ruch był niewielki. W jego kierunku jechały z rzadka pojedyncze samochody i ciężarówki, niektóre szybciej, inne wolniej, i tak samo wyglądało to po drugiej stronie. Trzymając jedną ręką kierownicę, uniósł się w fotelu i wyjął komórkę. Zważył ją w dłoni. Ma trzy wyjścia. Po pierwsze, nic nie robić. Po drugie, zadzwonić pod numer, pod który kazano mu zadzwonić. Po trzecie, zadzwonić pod numer, pod który rzeczywiście powinien zadzwonić, czyli w tym przypadku dziewięćset

jedenastcie, a następnie do lokalnej policji, do drogówki, do rady adwokackiej i do swojego prawnika.

Wybrał drugą opcję, co było do przewidzenia. Opcja numer jeden przesunęłaby tylko problem do chwili, kiedy by go dopadli. Opcja numer trzy gwarantowała mu pewną śmierć, po wielu godzinach, a może nawet dniach strasznych cierpień. Był małym nerwowym mężczyzną, żadnym tam bohaterem.

Wystukał numer, pod który kazano mu zadzwonić.

Sprawdził go dwa razy, po czym wcisnął zielony guzik i podniósł komórkę do ucha, co w wielu stanach stanowiłoby dwudzieste dziewiąte popełnione przez niego wykroczenie.

Ale nie w Dakocie Południowej.

Jeszcze nie.

Marna pociecha.

W słuchawce zabrzmiał męski głos, który słyszał już wcześniej cztery razy. Ochrypli i szorstki, przepojony czymś w rodzaju zwierzęcej drapieżności. Brzmiący, zdaniem prawnika, zupełnie jak głos z innego świata.

— Wal, chłopie — ponaglił głos wesoło i z okrutną satysfakcją, jakby jego właściciel napawał się swoją absolutną władzą, a także strachem, dyskomfortem i odrazą adwokata.

Adwokat przełknął ślinę i zaczął recytować, instrukcje, zdania i akapity w prawie identyczny sposób, w jaki zostały przekazane jemu. Zaczął mówić siedem mil i siedem minut przed mostem na autostradzie. Ten most nie był właściwie podobny do mostu. Poziom jezdni nie zmienił się, obniżył się tylko trochę przylegający do niej teren, przechodząc w szeroki płytki jar. Przez większą część roku jar był suchy, ale za pięć miesięcy miały nim spływać wiosenne wody. Drogowcy zbudowali przepust i umieścili pod jezdnią czterdzieści betonowych rur, żeby woda nie podmywała co rok fundamentów. Ten system dobrze sprawdzał się wiosną, miał jednak pewną wadę, która dawała o sobie znać zimą. Aby jej zaradzić, drogowcy umieścili z obu stron mostu tablice z napisem: UWAGA GOŁOLEDŹ.

Adwokat prowadził samochód i mówił. W siódmej minucie

monologu doszedł do najmniej zawołowanej i najbardziej oczywistej i brutalnej z czternastu propozycji. Wyrecytował ją do telefonu w taki sam sposób, w jaki usłyszał ją w więzieniu, to znaczy neutralnym, pozbawionym emocji tonem. Facet o ochrypłym głosie zarechotał i adwokatem wstrząsnął dreszcz. Zrodzony w jego wnętrzu spazm moralnej odrazy spowodował, że zadrżały mu ramiona i przesunęła się nieco dłoń, w której trzymał komórkę.

A także ręka trzymająca kierownicę.

Przednie koła samochodu wpadły w poślizg na moście i kiedy zbyt wolno skorygował tor jazdy, tylne koła zarzuciły raz, drugi i trzeci. Adwokat przejechał w poprzek trzy pasy i w tumanach śniegu zobaczył nadjeżdżający z naprzeciwka autobus. Biały, wielki autobus, który pędził prosto na niego. Tylne części mózgu adwokata uznała, że kolizja jest nieunikniona. Przednia zaś odparła, że nie, że ma jeszcze trochę czasu i miejsca, a od nadjeżdżającego pojazdu dzielią go środkowy pas i dwie metalowe bariery. Przygryzł wargę, przestał ścisnąć kurczowo kierownicę, wyrównał kierunek jazdy i autobus przejechał siedem jardów obok niego, dokładnie równoległym torem.

Adwokat wypuścił powietrze z płuc.

— Co jest? — zapytał głos w słuchawce.

— Wpadłem w poślizg — odparł adwokat.

— Dokończ to, co masz do powiedzenia, dupku — mruknął głos.

Adwokat przełknął ślinę i podjął przerwana relację,oczynając od początku poprzedniego zdania.

• • •

Kierowca jadącego w przeciwnym kierunku białego autobusu pracował w swoim zawodzie od dwunastu lat. W małym światku jego wyspecjalizowanej profesji trudno byłoby znaleźć kogoś lepszego. Miał odpowiednie papiery, ukończył odpowiednie szkolenia i dysponował odpowiednim doświadczeniem. Nie był już młody, ale nie był też stary. Mentalnie i psychicznie



znajdował się gdzieś na szerokim plateau zdrowego rozsądku, dojrzałości i szczytowych możliwości. Jechał zgodnie z rozkładem. Nie spieszył się. Nie był pijany ani naćpany.

Ale był zmęczony.

Od prawie dwóch godzin wpatrywał się w jednolitą ścianę śniegu. W odległości stu jardów ujrzał samochód, który sunął bokiem w jego stronę. Zmęczenie spowodowało, że zareagował o ułamek sekundy za późno, a napięcie w odrętwiałym ciele sprawiło, że była to reakcja zbyt gwałtowna. Szarpnął kierownicą, jakby chciał uchylić się przed ciosem. Zbyt mocno i zbyt późno. A poza tym niepotrzebnie. Samochód, który wpadł w poślizg, wyrównał tor jazdy i był za nimi, zanim przednie koła autobusu zaczęły manewr. A właściwie, zanim próbowały go wykonać. Koła wjechały na lód na moście dokładnie w tym samym momencie, w którym układ kierowniczy kazał im skręcić, w wyniku czego straciły przyczepność i wpadły w poślizg. Autobus miał nadmiernie obciążony tył. Był tam wielki żeliwny blok silnika. Zbiornik z wodą. Toaleta. Zupełnie jakby mieli z tyłu wahadło. Dlatego tył autobusu zapragnął wyprzedzić jego przód. Nie udało mu się to, jednak zatoczył dość duży łuk. Kierowca zareagował prawidłowo. Próbował skontrolować, ale przednie koła nie miały przyczepności. Nie odpowiadały na ruch kierownicy. Tył autobusu wyrównał, a potem zaczął się przesuwac w drugą stronę.

Kierowca walczył zaciekle przez trzysta jardów. Dwanaście długich sekund, które wydawały się dwunastoma długimi godzinami. Przekręcił wielkie plastikowe koło kierownicy w lewo, przekręcił w prawo, próbując opanować poślizg, próbując z niego wyjść. Ale poślizg nie dawał się opanować. Nabierał impetu. Wielkie ciężkie wahadło z tyłu sunęło raz w jedną, raz w drugą stronę. Miękkie resory zgrzytały i podrygiwały. Wysoki autobus przechylał się i zbaczał z kursu. Jego tył zatoczył się czterdzieści pięć stopni w lewo, a potem czterdzieści pięć stopni w prawo. UWAGA GOŁOLEDŹ. Autobus minął ostatni z betonowych przepustów i przednie

koła odzyskały przyczepność, ale stało się to w momencie, gdy byli zwrócenii ukosem do pobocza. Cały autobus obrócił się w tę stronę, jakby wykonywał zgodny z prawem rozkaz. Jakby chciał znowu okazać posłuszeństwo. Kierowca ostro zahamował. Autobus, nie zmieniając kierunku, zwolnił.

Ale niewystarczająco.

Przednie opony przecięły białą ciągłą linię, przecięły pobocze i zjechały do wypełnionego śniegiem i zamrzniętym błotem płytkiego rowu. Podwozie szorowało po skraju jezdni jeszcze przez dziesięć stóp, a potem autobus zatrzymał się przechylony w dół, w jednej trzeciej w rowie i w dwóch trzecich na poboczu. Komora silnika zawisła nad prawym pasem ruchu. Przednie koła zatrzymały się w miejscu, z którego nie sposób było ruszyć. Silnik zgasł i słychać było tylko syk stygnących na śniegu gorących części, łagodne posapywanie pneumatycznych hamulców i krzyki pasażerów, które bardzo szybko ucichły.

• • •

Pasażerowie stanowili jednorodną grupę, wszyscy z wyjątkiem jednego. Dwadzieścioro siwowłosych staruszek plus młodszy mężczyzna, w autobusie, w którym było czterdzieści miejsc siedzących. Wśród emerytów było dwanaście wdów i cztery pary. Pochodzili z Seattle i brali udział w zorganizowanej przez Kościół wycieczce krajoznawczej. Obejrzelili właśnie Miasteczko na Prerii i jechali na zachód do Mount Rushmore. Obiecano im, że zahaczą o geograficzny środek Stanów Zjednoczonych i zwiedzą parki narodowe i prerię. Fajna trasa, ale zła pora roku. Dakota Południowa w zimie nie należy do zbyt gościnnych miejsc. Stąd pięćdziesięcioprocentowa zniżka na bilety, które i tak nie były drogie.

Nietypowym pasażerem był mężczyzna o co najmniej trzydzieści lat młodszy od najmłodszego z wycieczkowiczów. Siedział samotnie trzy rzędy za ostatnim z emerytów. Był kimś w rodzaju pasażera na gapę. Dołączył do wycieczki tego samego dnia, na stacji benzynowej na wschód od miasteczka o nazwie

Cavour. Za Miasteczkiem na Prerii, przed muzeum Dakotaland. Bez żadnego wyjaśnienia. Po prostu wszedł do autobusu. Niektórzy widzieli, jak rozmawiał wcześniej z kierowcą i jak z ręki do ręki przeszły pieniądze. Nikt nie wiedział, co o tym myśleć. Skoro zapłacił za przejazd, nie jest pasażerem na gapę, ale pasażerem trzeciej klasy. Kimś zbliżonym do autostopowicza.

Tak czy inaczej, uznano go za dość miłego faceta. Małomówny i grzeczny, był ponad stopę wyższy od najwyższego ze starszków i sprawiał wrażenie bardzo silnego. Nie miał urody filmowego amanta, ale nie był też brzydki. Przypominał sportowca, który właśnie zakończył karierę. Być może futbolistę. Był ubrany w wyłożoną na spodnie pogniecioną koszulę i ocieplaną płócienną kurtkę. Nie miał żadnych bagaży, co było dziwne. Generalnie jednak dobrze było mieć kogoś takiego na pokładzie, zwłaszcza że okazał się osobą kulturalną i w żaden sposób im nie zagrażał. Groźne zachowanie u mężczyzny tych rozmiarów byłoby niestosowne. Dobre maniery u mężczyzny tych rozmiarów były czarujące. Kilka co śmielszych wdów zastanawiało się, czy wdać się z nim w pogawędkę, lecz facet raczej do tego nie zachęcał. Przez większą część podróży spał, a na wszelkie próby nawiązania kontaktu odpowiadał grzecznie, lecz krótko, w sposób zupełnie pozbawiony treści.

Wiedzieli jednak przynajmniej, jak się nazywa. Jeden z mężczyzn przedstawił mu się, gdy wracał z toalety z tyłu autobusu. Wysoki nieznajomy spojrzął na niego z wyżyn swojego fotela i zawahał się, jakby się zastanawiał, czy opłaca mu się zareałgować. W końcu uściśnął wyciągniętą rękę.

— Jack Reacher — powiedział.

## 2

Reacher obudził się, kiedy jego głowa uderzyła pod wpływem siły odśrodkowej o szybę. Natychmiast zdał sobie sprawę, gdzie jest. W autobusie. Przez następny ułamek sekundy obliczał szanse wyjścia z poślizgu. Śnieg, lód, rozsądna szybkość, nieduży ruch. Uderzymy w środkową barierkę albo zjedziemy do rowu. W najgorszym razie przewrócimy się na bok. Specjalnie go to nie przerażało. Z pewnością bardziej ucierpią siedzący przed nim staruszkowie. Ale prawdopodobnie nikt nie zginie. Bardziej martwiło go to, co będzie potem. Dwadzieścia starszych osób, przerażonych, być może rannych, pokaleczonych, połamanych, uwięzionych w rozbitym autobusie w środku śnieżycy, całe mile od ludzkich siedzib.

Niedobrze.

Przez następnych jedenaście i pół sekundy przytrzymał się, czego się dało, walcząc z inercją zarzucającego raz w prawo, raz w lewo autobusu. Był najdalej w tyle siedzącym pasażerem, i to nim najbardziej miało. Ludźmi siedzącymi bliżej miało słabiej. Ale mieli kruche kości. Widział, jak głowy latają im na boki. Widział we wstecznym lusterku twarz kierowcy. Facet się nie poddawał. Nieźle. Ale walka była przegrana. Luksusowy autokar niełatwo się prowadzi. Za komfort trzeba płacić. Reacher odwiedził z jakiegoś powodu Marshall w Minnesocie

i zabrał go stamtąd facet, który jechał do Huronu w Dakocie Południowej. Nie wiadomo dlaczego nie chciał go jednak dowieźć do końca i wysadził przy stacji benzynowej na obrzeżach Cavour. Co z początku nie wróżyło dobrze, ponieważ miasto Cavour nie jest raczej dużym węzłem komunikacyjnym.

Ale gdy Reacher wypił dwie filiżanki kawy, na stację zajechał czterdziestomiejscowy luksusowy autokar i wysiadło z niego tylko dwadzieścia osób, co oznaczało, że są wolne miejsca. Kierowca wyglądał na bezpośredniego faceta, więc Reacher zwrócił się do niego w bezpośredni sposób. Dwadzieścia dolców za podwiezienie do Rapid City? Facet zażądał czterdziestu i zgodził się na trzydzieści. Reacher wszedł do autobusu i spędził cały dzień w dogadanych warunkach. Komfort zawdzięczali miękkim resorom oraz tłumiacemu wstrząsy układowi kierowniczem, które w tym momencie nie okazały się zbyt pomocne.

Siedem sekund później Reacher patrzył jednak w przyszłość z większym optymizmem. Kierowca zdjął nogę z gazu i autokar zwalniał. Trudno było odnieść takie wrażenie, ale było to oczywiste. Wynikało z prostych praw fizyki. Zasady dynamiki Newtona. Jeśli nie wpadnie na nich inny pojazd, będą się przez jakiś czas telepały i w końcu staną, być może w poprzek drogi, być może przodem do tyłu, ale na kołach i zdolni do dalszej jazdy.

Nagle poczuł, że przednie koła znów łapią przyczepność, i zobaczył, że autobus zjeżdża z drogi. Co było złe. Kierowca wdepnął jednak mocno hamulec i w końcu z głośnym łomotem i zgrzytem zatrzymali się w połowie na jezdni, a w połowie poza nią, co było w porządku. Tyle że tył autobusu zawisł teraz nad pasem ruchu, co nie było w porządku, i umilkły wszelkie mechaniczne odgłosy, co sugerowało, że pojazd nie nadaje się do jazdy, i było zdecydowanie nie w porządku.

Reacher obejrzał się i zobaczył, że z tyłu nie zbliżają się do nich żadne światła. Na razie. Wstał, przeszedł na przód i zo-

baczył przed sobą zaśnieżony płaski teren. Żadnych urwisk, żadnych wąwozów. Nie grozi im nagły przechył przy zmianie środka ciężkości. W związku z tym Reacher cofnął się i zaczął namawiać starszusków, żeby przeszli do przodu. Jeśli wpadnie na nich osiemnastokołowa ciężarówka, oderwie najwyżej tył autobusu, nikogo nie zabijając. Ale starszuskowie byli w szoku i nie chcieli się przenosić. Siedzieli bez ruchu. Reacher wrócił więc do kierowcy, który też siedział nieruchomo na fotelu, mrugając, przełykając ślinę i czekając, aż obniży mu się poziom adrenaliny.

— Dobra robota, chłopie — pochwalił go Reacher.

Kierowca pokiwał głową.

— Dzięki — mruknął.

— Uda ci się wyjechać z tego rowu?

— Nie wiem.

— A jak ci się wydaje?

— Chyba nie.

— Dobra. Masz flary? — spytał Reacher.

— Co takiego?

— Flary. Tył autobusu sterczy nad pasem ruchu.

Facet przez chwilę nie odpowiadał. Był oszołomiony. Potem pochylił się, otworzył schowek przy swoich stopach i wyjął trzy ostrzegawcze flary, matowoczerwone tekturowe tuby ze stalowymi szpikulcami na końcu.

— Masz apteczkę? — chciał wiedzieć Reacher, biorąc je od niego.

Facet znów pokiwał głową.

— Sprawdź, czy pasażerowie nie odnieśli jakichś obrażeń. Zachęć ich, żeby przenieśli się jak najbliżej do przodu. Najlepiej, żeby siedli razem w przejściu. Jeśli ktoś na nas wpadnie, oberwiemy w tyłek.

Facet kiwnął głową po raz trzeci, a potem otrząsnął się jak pies i zaczął działać. Wyjął apteczkę z drugiego schowka i wstał z fotela.

— Najpierw otwórz drzwi — powiedział Reacher.

Facet wcisnął przycisk i drzwi z sykiem się otworzyły. Do środka wpadło mroźne powietrze i tumany śniegu. Zamieć rozszalała się na dobre.

— Zamknij za mną drzwi — polecił Reacher. — Nie trać ciepła.

Następnie zeskoczył do rowu, pobrnał po lodzie i błocie w stronę pobocza, wdrapał się na jezdnię i pobiegł do końca autobusu. Śnieg sypał mu w twarz. Trzymając się wyznaczającej pas linii, przebiegł trzydzieści kroków wzdłuż trasy, którą pokonali. Zakrzywiona trajektoria. Trzydzieści kroków, trzydzieści jardów. Dziewięćdziesiąt stóp. Osiemdziesiąt osiem stóp na sekundę równa się sześćdziesięciu milom na godzinę, a nie brakuje szaleńców, którzy będą pędzili sześćdziesiątką nawet przy szalejącej śnieżycy. Pochylił się i wbił szpipekulec flary w jezdnię. Na drugim końcu zapalił się samoczynnie szkarłatny płomień. Reacher przebiegł kolejnych trzydzieści kroków. Zapalił kolejną flarę. Przebiegł jeszcze trzydzieści i zapalił trzecią, żeby dopełnić ostrzegawczą sekwencję: trzy sekundy, dwie, jedna, zjeżdżaj na lewy pas, do cholery.

A potem wrócił biegiem do autobusu, przebrnął przez rów i walił w drzwi tak długo, aż kierowca przestał opatrywać uszkodzonych i mu otworzył. Reacher wsiadł. Razem z nim do środka wpadł tuman śniegu. Zdążył porządnie zmarznąć. Skostniała mu twarz i stopy. A w autobusie zrobiło się wyraźnie chłodniej. Okna z jednej strony już były zasypane śniegiem.

— Powinieneś włączyć silnik i ogrzewanie — powiedział do kierowcy.

— Nie mogę. Mogło dojść do przerwania przewodu paliwowego. Szorowaliśmy podwoziem o asfalt.

— Na dworze nie poczułem zapachu paliwa — stwierdził Reacher.

— Nie wolno mi ryzykować. Wszyscy żyją. Nie chcę, żeby spłonęli w pożarze.

— Wolisz, żeby zamarli na śmierć?

— Zajmij się udzielaniem pierwszej pomocy. Ja spróbuję wykonać parę telefonów.

Reacher ruszył więc przejściem na tył i zaczął oglądać starszków. Kierowca załatwił pierwsze dwa rzędy. To było jasne. Czwórka siedzących przy oknach pasażerów miała plastry Band-Aid tam, gdzie skaleczyli się o metalową framugę szyby. Za komfort trzeba płacić. Lepszy widok, ale i większe ryzyko. Jedna z kobiet miała plaster również po drugiej stronie twarzy, prawdopodobnie tam, gdzie uderzył ją głową mąż podrygujący niczym szmaciana lalka.

Pierwsze złamanie było w trzecim rzędzie. Delikatna starsza pani, drobna jak ptaszek. Kiedy autobus zmienił kierunek, przechyliła się w prawo, a potem w lewo. Okno rąbnęło ją w ramię. Pod wpływem uderzenia złamał się obojczyk. Reacher poznał to po tym, jak ścisnęła swoją rękę.

— Czy mogę rzucić na to okiem, proszę pani? — zapytał.

— Nie jest pan lekarzem.

— Szkolono mnie w wojsku.

— Był pan sanitariuszem?

— Byłem żandarmem. Mieliśmy szkolenie z udzielania pierwszej pomocy.

— Zimno mi.

— To pod wpływem szoku — wyjaśnił Reacher. — I pada śnieg.

Odwróciła się do niego przodem, wyrażając w ten sposób zgodę. Reacher dotknął przez bluzkę jej obojczyka. Kość była delikatna jak ołówek. Pękła w połowie długości. Czyste złamanie. Nieskomplikowane.

— To coś poważnego? — zapytała.

— Bynajmniej. Obojczyk wykonał swoje zadanie. To taki rodzaj bezpiecznika. Łamie się, żeby uchronić nas przed urazem ramienia i szyi. Szybko i łatwo się zrasta.

— Muszę iść do szpitala?

Reacher pokiwał głową.

— Zawieziemy tam panią.



Ruszył dalej. W czwartym rzędzie był skrecony, a w piątym złamany nadgarstek. Poza tym łącznie trzynaście skaleczeń, dużo drobnych stłuczeń i ogólny szok.

Temperatura szybko spadała.

Przez tylną boczną szybę Reacher widział flary. Nadal się paliły, trzy szkarłatne purchaseki jaśniejące w tumanach śniegu. Poza tym nie widać było żadnych świateł. Ruch wstrzymany. Wrócił z pochyloną głową do kierowcy, który siedział na swoim fotelu i gapił się z przodem na szybę, trzymając w prawej ręce otwartą komórkę i bębniąc palcami lewej w kierownicę.

— Mamy problem — oznajmił.

— Jakiego rodzaju?

— Zadzwoiłem pod dziewięćset jedenaście. Patrole drogowki są sześćdziesiąt mil na północ i sześćdziesiąt mil na wschód od nas. Nadchodzą dwie wielkie śnieżycy. Jedna z Kanady, druga od Wielkich Jezior. Dzieją się dantejskie sceny. Wszystkie wozy holownicze są zajęte. Mają karambole na sto samochodów. Ta autostrada jest zamknięta za nami i przed nami.

Ruch wstrzymany.

— Gdzie jesteśmy?

— W Dakocie Południowej.

— Wiem o tym.

— Więc wiesz, co mam na myśli. Poza Sioux Falls i Rapid City to zadupie. A nie jesteśmy w pobliżu Sioux Falls ani Rapid City.

— W pobliżu musi być jakieś miasto.

— Na GPS-ie widzę miejscowość, która nazywa się Bolton. Może dwadzieścia mil stąd. Ale nie jest duża. Po prostu kropka na mapie.

— Możesz załatwić zastępczy autobus?

— Przyjechaliśmy ze Seattle. Być może uda się go ściągnąć cztery dni po śnieżycy.

— Czy w tym Bolton mają posterunek policji?

— Czekam na odpowiedź.

— Może są tam jakieś wozy holownicze?  
— Na pewno. Przynajmniej jeden. Stoi przy stacji benzynowej i nadaje się do ściągnięcia zepsutego półtoratonowego pick-upa. Ale nie pojazdu tej wielkości.

— A ciągniki rolnicze?  
— Potrzebowaliby ich przynajmniej osiem. I grube łańcuchy.  
— No to jakiś szkolny autobus. Pasażerowie mogliby się przesiąść.

— Chłopcy z drogówki nas nie zostawią. Dotrą tutaj.

— Jak się nazywasz? — zapytał Reacher.

— Jay Knox.

— Musi pan myśleć z wyprzedzeniem, panie Knox. Patrol z drogówki dojedzie do nas w najlepszym razie za godzinę. Przy tej pogodzie za dwie. Zważywszy, z czym muszą się uporać, za trzy. Więc musimy coś wymyślić, bo za godzinę ten autobus zmieni się w lodówkę. Za dwie godziny te starowinki zaczną padać jak muchy. Może nawet szybciej.

— Więc za czym głosujesz?

Reacher miał zamiar odpowiedzieć, lecz w tym samym momencie zadzwoniła komórka Knoxa. Facet odebrał i jego twarz na chwilę się rozjaśniła, a potem znów nachmurzyła.

— Dzięki — mruknął, po czym rozłączył się i spojrzał na Reachera. — Jak się okazuje, w Bolton jest komisariat policji. Wysyłają kogoś, ale mają własne problemy, i to zajmie trochę czasu.

— Ile?

— Co najmniej godzinę.

— Jakiego rodzaju problemy?

— Nie powiedzieli.

— Będziesz musiał uruchomić silnik.

— Pasażerowie mają płaszcze.

— To nie wystarczy.

— Boję się pożaru.

— Ropa jest o wiele mniej łatwopalna niż benzyna.

— Jesteś jakimś ekspertem?